



POSTĘP

Lat temu tysiąc —
z wielką biedą
ledwie się człek przez bory przedarł
żeby sąsiadom o mil siedem
miodu za płótno sprzedać.

Lat temu pięćset —
borem, lasem
przez rzeki wbród i wąską drogą
na dwór, na turniej, na zapasy
jeździła rycerstwa mnogość.

Lat temu sto —
po lichych mostach
sznur dylizansów, wozów, bryczek
piaszczystą, drogą prostą
gnał z okolicy w okolic

Pół wieku temu —
tu i ówdzie
przez rzekę, las i poprzec pole
po czarnych szynach,
sapiąc w trudzie,
poszła żelazna kolej.

Ćwierć wieku temu —
na zawody
z koleją, z wozem zwykłym
ruszyły szosą samochody
i zwinne motocykle.

A dziś —
nad niemi
drogą szeroką,
w nieba przestrzeni

bliski obłokom —
śpiew śmigła
zgóry
rzucając polom,
mknie srebrnopióry,
przez wichrów trakt
stalowy ptak —
samolot!

Ed. Szymański

Każdy przyjaciel „Krasnoludków“ stanie do „Wyścigu Sprytnych Głórek“. Wyścig ten rozpoczynamy od dziś, a skończymy w ostatnim dniu stycznia

Listopadowy promyk

Idzie Wojtuś z Marysią i smuci się, że już jesień.

Szu, szu, szu... szemrzą liście. Wiatr porывa je i unosi w dal. Żal, żal, żal... skarża się drzewa — ach, zima już nadchodzi.

— Nie smućcie dzieci — mów! Listopadowy Promyk do liści i drzew. Cóż z tego, że jesień. Tak przecież ładnie! Zadowolam tu dzieci.

Chwytał Promyk kilka listków do ręki. Podniósł je do góry. Okręcił się.

— Złote liście, liście złote, kto je zbierać ma ochotę, niechaj do mnie tu przy-

Zuchy się bawia

chodzi. Mam tu listki do wyboru. Do wyboru, do koloru. Jaki listek chce dobrodziej?

Ten jest z dębu. Ten jest z klonu. Ten jest z lipy. Ten z topoli. Ten pierzasty to z jesionu. Do wyboru, do koloru, co kto lubi, co kto woli.

Śluchają dzieci nawoływać Promyka. Zrobiło się im wesoło.

Wojtuś trącił Marysię i mówi:

— Słyszysz, jak zmyślnie Promyk nawołuje? Naprawdę, te listki są śliczne. Nazbierajmy ich.

I zaczęły zbierać.

Przelot

Na dziedzińcu pomiędzy dwoma drzewami, czy palami, lub przeciwległymi płotami, przeciąga się sznur na metrowej wysokości od ziemi. W środku jego przytwierdzony jest słomiany chochoł — poczwara, końcem oparty o ziemię, lecz przytrzymywany całkowicie przez sznur.

Zuchy, jako ptaki, na głos wodza:

„Leci, pędzi ptaków chmara!“
wymachując rękoma wybiegają z mety, odległej od chochoła o 10 kroków, krzycząc:

„A tu! co to za pozwara?“

Nie zatrzymując się, przedostają się pod sznurem i w pędzie docierają do

drugiej mety, odległej od sznura tak jak i pierwsza.

„Ptak“, który najwcześniej „przyfrunął“ otrzymuje kreskę. Ten zaś, który wyrucił nieostrożnie chochoła, zostaje przez niego „pożarty“ i wychodzi z gry.

Biegi następują naprzemiennie, to z jednej, to z drugiej mety.

Odmianą będzie, gdy sznur opuścimy niżej, by zuchy zamiast podchodzenia, przeskakiwały.

Górna część chochoła musi być cięższa, by przy poruszeniu sznurem chochoł się wywacał. Aby jednak sam się utrzymał możemy wykopać mały dołeczek w ziemi

Chochoł

W odległości 20 kroków od mety z której wypuszcza się pojedynczo zuchów, stoi chochoł, czy też wetknięty kij. Pomiedzy tem, a metą są wykopane co cztery kroki, poprzeczne cztery rowki długości do 2 metrów. Zuch wychodzi z zawiązanymi oczyma. Ma on dojść do chochoła i przewrócić go, ominawszy po drodze rowki, Idzie przeto łukiem. Za trzecim razem, gdy wejdzie do rowka przegrywa i wychodzi z gry. W drodze może też dwa razy zapytać.

„Pytam o drogę,

Bo trafić nie mogę!“

Wówczas wódz podaje mu informację. „pół obrotu w lewo — pięć kroków naprzód... dwa kroki w przód i trzy kroki w lewo... trzy kroki w lewo i jeden krok w tył...“ i t. p. Wygrywa z całości ten, kto doszedł do chochoła ominawszy wszystkie rowki i bez wskazówek, lub kto najmniej pytał i najmniejszą ilość razy wszedł do rowków.

A. A. N.



(13-ciąg dalszy)

— No, teraz opowiadajmy co kto zauważył, a jutro zrana zaczniemy naukę języka, dowiemy się jak się nazywa wyspa i zawiesimy sztandar.

— Hm, od czego tu zacząć — zamruczał Julek. — Lud mój jest niechlujny, brudny i plugawy. Obywatele tutejsi nie myją się pod żadnym pozorem, studnie mają płytkie i brudne, toteż w każdej chacie leży ktoś chory na dysenterję. Zato lud mój żuje ciągle jakieś liście, które nazywa betel, albo sirih, od czego ma buzię brązowo-czerwoną. No i to chyba wszystko, co można o moim ludzie powiedzieć.

— No, Wacek! Teraz ty.

— Ja zauważyłem... hm!... że tu jest strasznie dużo jadowitych węzów, tak, że niebezpiecznie jest chodzić.

— Mnie się rzuciło w oczy — odezwał się Mietek — że tu nic nie uprawiają, tylko jedzą owoce z dzikich drzew...

— Aha! — wtrącił Julek. — Na jedną palmę, zdaje się kokosową, mówią „klapa”.

— Właśnie — ciągnął Mietek — myślę, że jak jest pora deszczowa, to ci ludzie przymierają głodem, bo nie robią zapasów i wtedy jest rzeczywicie — klapa. Dróg też wcale nie mają i w ciągu naszego spaceru ciągle musieli torować sobie przejście. To chyba wszystko... A co ty powiesz, Breloczku?

— Ja myślę, że oni są bardzo dobrzy, ci dzicy — zaczął Breloczek. — Nie widać wcale, żeby się kłócili, albo mówili sobie jakie nieprzyjemne rzeczy. Także nie kradną wcale i wszystko jest u nich otwarte, tylko...

— Co tylko?

— Tylko, że nie umieją czytać i pisać i konieczne trzeba ich tego nauczyć, bo inaczej nie będą mogli czytać książek.

— No, Breloczku, z książkami toś niebardzo w porę się wybrał — uśmiechnął się Mietek — bo tymczasem oprócz atlasu i kieszonkowych kalendarzy, to i my nie mamy żadnych książek, ale owszem, moż-

na ich nauczyć czytać i pisać.

— Jabym... — zaciął się Breloczek — jabym się tem zajął..

— Doskonale! — parsknął Julek — Breloczek dostaje dziś nominację na ministra oświaty.

— Tak, ministra oświaty! — potwierdził poważnie Mietek. — A my podzielimy się pracą w taki sposób: ja będę ministrem rolnictwa i robót publicznych, Julek ministrem zdrowia i higieny, a Wacek — ministrem wojny... z węzami.

— Niech żyje węzowy minister! — zawołał Julek.

— Niech żyje gabinet ministrów wyspy... wyspy... — zająknął się Wacek i roześmiał się. — Przecież my dotąd jeszcze nie wiemy jak się nazywa nasza wyspa!

— I wogóle oprócz słowa „alun alun”, nie znamy wcale języka naszego ludu — powiedział Julek.

— Jutro weźmiemy się do nauki — powiedział Mietek — a tymczasem spać!

— Uuff! — przeciągnął się Wacek. — Z jaką przyjemnością wypiłbym teraz szklankę kakao, potem umył się prawdziwym mydłem w prawdziwej miednicy i położył się do prawdziwego łóżka!

— No, to długo na to jeszcze poczekaasz! — mruzczał Julek, ściągając trzewiki. — Ale co do mydła, to naprawdę będzie krucho. Jak ten Robinson robił mydło, nie pamiętacie.

— O ile mi się zdaje, to w „Robinsonie” nic się nie mówi o mydle...

— Dłaboga! Jakież on musiał być brudny!

— A może znalazł mydło na tym rozbitym okręcie?

— Może być... Tylko na to nie można liczyć: okręty nie rozbijają się tak na zawołanie.

— Ha, będziemy musieli sami zrobić mydło — powiedział Mietek.

— Tak, ale wiesz z czego się robi i jak? — spytał Julek.

— Zdaje mi się, że z tłuszczu i ługu.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Coś połyska z daleka,
Stanie Pyza: to rzeka.
Jakże przejdę przez wody,
by nie zrobić se szkody.



Wtem zachwiały się trzciny,
zaszumiały wikliny,
coś się w trzcinach kołacze
płynię łódka cudaczek.



Taki sobie cudaczek,
co go zwano wiślaczek.
Miał łódeczkę maluśką,
płynął sobie cichuśko.

Jak Pyza



Czego chcecie gosposiu,
tłusciuteńka kumosiu? —
— Przejsć bym chciała poprostu
ale nie ma tu mostu!

Bija

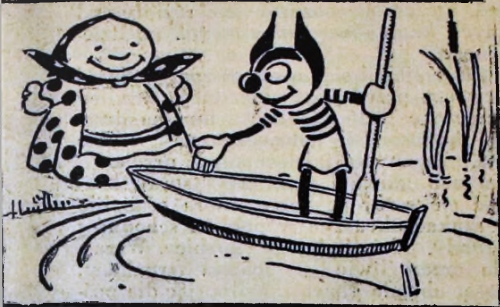
Na tym płocie za stodołą posiadają
wróble spolem. Posiadały wróble wszę-
dzie i ćwierkają wciąż zawzięcie.

Ze nie lecą dzisiaj w pole, bo od rana
tu, w stodole Bartek młócić zboże będzie.
I cóż mówić dużo-wiele, młócić będzie
także Grzela.

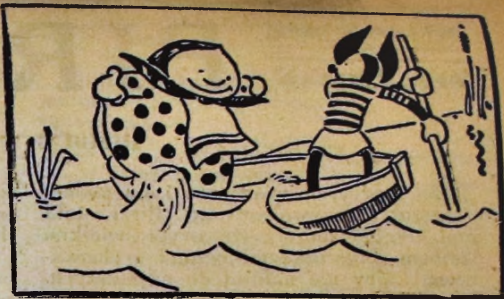
Skrzyp, skrzyp, skrzypią już wierzeje
A wróbelki się dziwią: ćwir, ćwir, jak
tu zboża wiele! Ćwir, klepisko już zmie-
cione. Ćwir, już snopki rozłożone. Ćwir,
ćwir, co tu gadać wiele! Chwyta cepy



wędrowała



Na to rzecze Wiślaczek:
— niech gosposia nie płacze!
Wnet przyplynie do toży
i gosposię przewożę.



Stanie łódka cichutko,
skoczy Pyza leciutko,
fala wzniosła się troszkę,
i zmoczyła pończoszke.



Nie nie szkodzi, nie szkodzi
miło płynąć w tej łodzi
fala sobie chlupoce,
rybka w fali migoce.

cepy

Bartek z Grzelą.

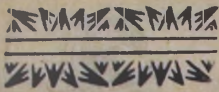
Łupu, cupu — biją cepy. Łupu, cupu — po klepisku. Wróble niby się dziwią. I podchodzą blisko, blisko.

Wielką mają dziś ochotę pojeść ziarenek, pojeść złotych. Ziarnka, to rzecz smakowita. Już najadły się dosyta. I na płocie za stodołą zaćwierkały pieśń wesolą.

Zaćwierkały wróble Grzeli. Zaćwierkały i Bartkowi za ziarenka te złociste, wymłócone dziś w stodołę.



Jak się nie śmiać, radować,
gdy lśni woda perlowa,
szumi trzcina, wiklina,
śpiewa w górze ptaszyna



PIRAT



Historia o k roku

Był mądry, doświadczony i czarny jak atrament. Nazywaliśmy go „Pirat”, taki miał wygląd zbójceki ze swym wielkim dziobem, błyszczącymi oczami i charakterem, który nie należał do najmilszych. Gdy dostawał mięso, rzucał się na nie z dzikością, trzepocząc wielkimi czarnymi skrzydłami, wyglądał wtedy jak uosobienie zła i okrucieństwa. Psy się go bały, kot uciekał na jego widok, kwocзка brała pod skrzydła kurczęta, nie bał go się tylko wielki brązowy indor, który trząsał się cały belkocząc, chwiała mu się na szyi sino-białe ze złości, zwykle czerwone, korałe.

Tolerował też Pirat szare wróble. Co znaczyła dla niego ta gromadka, kapiąca się w piasku lub zbierająca lada okruszynki? Zresztą znały przed nim mores; wystarczyło, by rzucił na nie złym spojrzeniem, a już ich nie było, pierzchały, gubiąc czasami ze strachu szare piórka. Coś tam ćwierkały do siebie, gdy szedł, podlatując od czasu do czasu przez zwirowaty dziedziniec, aż przechylały głowy z ciekawości, ale nie śmiały być natrętnie.

Od czasu do czasu czarna błyszcząca głowa pochylała się szybko, wyciągał się dziób jak lancet, błyskało pożądliwe oko i Pirat odlatywał, rozpostarłszy skrzydła, unosił coś w dziobie. Znikał za ogrodem, wtedy jak ziarno sypnięte z nienacka, ze wszystkich stron zjawiały się ciekawskie wróble, szukały, szukały, między błyszczącymi w słońcu kamyczkami w żwiru i dziwiły się, nie było nie! A Pirat tymczasem unosił swój łup daleko: na skraju lasu donadł do wielkiego drzewa, w którym była dziupla, i znikł. Miał tam skarbiec, różne kamyczki: niebieskie, opalizujące, białe z żyłkami czerwonymi jak krew, dwa metalowe guziki i tani pierścioneczek, skradziony na jarmarku, w kącie lśniła gwiazdeczka brzoń lantowego guzika.

Po przeglądzie swych skarbów wracał Pirat śpiesznie do domu, przedtem rozjeżdżawszy się pilnie, czy go kto nie śledzi. Wracał, by władcym okiem zlustrować podwórko. Czasami też chyłkiem zaglądał Pirat do swego podtecznego skarbca, gdzie w piasku pod schodami werandy zakopywał zwirowate kamyczki: zrobiliśmy kiedyś w czasie jego nieobecności prze-

gląd, niczem się pozornie nie różniły od innych kamyków, rozsypanych po dziedzinie.

Pirat zjawiał się zawsze w porę, zdążył porwać z przed nosa łagodnej wyżlicy smakowity gnat i frunąc z nim na drzewo, skąd spędził polującego na wróble kota. Za chwilę jak chmura przeleciał nam nad głową i wymierzył sprawiedliwość ciekawej perliczce, która ośmieliła się szukać okruszyn w pobliżu schodków werandy, gdzie był jego skarbiec. Wrzasnęła przeraźliwie i uciekła truchtem, trzęsąc obolałą głową i podlatując dla pośpiechu.

Pomimo przykrego charakteru lubiliśmy jednak Pirata, który na swój sposób władczy i wyniosły tolerował naszą obecność. Czasami, gdy jechaliśmy na spacer, potrafił lecieć za nami przez parę kilometrów. Zresztą całą okolicę znał jak własną kieszeń. Ta znajomość terenu służyła mu do zbójceckich wypadów.

Niedaleko od nas było miasteczko, w dnie targowe w furgonach przyjeżdżało mięso z uboju. Pochłaniały je jatki, gęsto rozsiane wzdłuż rynku. Skąd się Pirat o tym dowiedział, pozostaje jego tajemnicą, w każdym razie żyłka zbójceka odezwała się w nim z całą siłą. Począł znikać z domu na parę godzin, z kierunku, w którym leciał, wiedzieliśmy, że to nie skarbiec w lesie jest jego celem. Zachodziliśmy w głowę, dokąd leci. O tym, by chciał szukać sobie pożywienia, nie mogło być mowy, bo miał go w domu pod dostatkiem. Dokąd więc leciał Pirat, lśniąc granatem piór w słońcu, jak stalowa broń? Zaczęliśmy go obserwować, okazało się, że wyrusza sam, lecz w chwilę po jego odlocie słychać było krakanie i z pobliskich drzew, gdzie gnieździły się wrony, odlatywały całe pułki czarnego wojska, nawołując się gardłowo. Za nimi pofrunęły wróble, zawsze spragnione nowin.

Lecz oto najniespodziewaniej przyszła wiadomość, przywiózł ją na trzęsącej się bryczce, pokornie kłaniając się i skubiąc nerwowo brodę, rzeźnik Szumko. Najpierw coś zagadywał o zbiorach, a potem przepraszając zaczął o swojej sprawie. Okazało się, że przyjechał w delegacji od rzeźników, kupców z miasteczka. Wszy-

scy mają wielki strach przed, z przeproszeniem pańskim, ptakiem, złodziejem i rozbójnikiem. Kradnie mięso, a żydki go się boją. Z początku myśleli, że to (tu Szlomek snłunał), że to sam „chapun”. Ale nie dość na tym, że sam kradnie, ale zwołuje inną ptasią hołotę. Poobsiadają wszystkie drzewa koło rynku i czekają, a on sam robi cały geszeft. Ostatnio tak się rozzuchwalił, że z rąk rzeźnikowi wyrwał sznyclówkę i już go nie było. Taka strata, cielecina bieluteńka, jak kura. A chłopcy widzieli, że sam nawet tego mięsa nie jadł, tylko innym rzucił i odleciał. Kupcy chcieli już dać znać do policji, ale woleli sprawę załatwić grzecznie, po sąsiedzku i prosić, żeby tego paskudnego ptaka nie wypuszczać, bo inaczej nie o-

ptaci się żydkom handlować. W chwili, gdy Szmulék kończył opowiadanie nadleciał Pirat.

— To on, to on, — wrzasnął, naciągając chałat na głowę — tfy, żeby mnie nie zapamiętał.

Za chwilę odjechał, oglądając się jakby w strachu, czy Pirat go nie goni. Przesłstwo Pirata zostało sprawdzone w następnym dniu targowy, na miejscu, był rzeczywiście rozbójnikiem, przebiegłym i śmiałym hersztem ptasiej drużyny, czekającej na niego, gdy wracał z łupem. Rzeź została policyjnie stwierdzona i zaprotokółowana, a Pirat skazany na domowy areszt.

Zofja Kelus-Lipkowska

Wyścig sprytnych główek

A więc od dziś stajemy do naszego konkursu. Przypomnijmy sobie warunki:

Każde z Was za dobre rozwiązanie rebusiku, zagadki, logoryfu, czy zadanka dostanie odpowiednią ilość punktów, oznaczoną przy każdym zadaniu. Do zdo-

bycia będzie aż 100 punktów. Ten kto rozwiąże największą ilość rebusików, lamigłówek, zagadek i t. p. zostanie „Krasnalkiem Sprytną Główką” i otrzyma nagrodę. Dwoje dalszych również dostanie nagrody.

31 stycznia zamkniemy konkurs. Wszyscy więc muszą do tego terminu nadesłać rozwiązania, bo kto się spóźni nie będzie mógł liczyć na nagrodę.

Kochani, niech każdy przyjaciel Krasnalki weźmie udział w konkursie! To nie, że nie każdy zdobędzie 100 punktów! Jeden rozwiąże więcej, drugi mniej, ale na to przecież wyścig. To tak jak z bieganiem, jeden biegnie szybciej, drugi wolniej.

Rozwiązanie możecie przysyłać po każdym numerze, to nawet lepiej, bo potem coś może się zgubić, o oczemś można zapomnieć, prawda? Zaczynamy więc. Już w tym numerze zdobyć możecie 10 punktów!



REBUS

(Za rozwiązanie 3 punkty)



ZAGADKA

(Za rozwiązanie 3 punkty)
W upale, czy w chłodzie
chodzi mięso w wodzie.

ZGADNIJ

(Za rozwiązanie 1 punkt)

Jaś się śpieszył. Przepisał tak:
W szkole piszemy na tacy.
Co Janek opuścił? Jak powinno być?

SZARADA

(Za rozwiązanie 3 punkty)

Pierwsza — oznacza pierwszą osobę
druga — od łowów zabierzesz sobie,
trzecia — oznacza zebranie liczne,
całość — wśród sosn krzewi się ślicznie.



Wyścigi cyrkowe cieszyły się w Rzymie wielką popularnością.

Właściwe igrzyska i walki odbywały się zwykle w amfiteatrach, mniejszych i bardziej okrągłych. Wystawiano w nich komedje poczem odbywały się zapasy, bardzo często śmiertelne, uzbrojonych niewolników, zwanych gladiatorami. Stawali oni pojedynki, a nawet walki całemi oddziałami ze sobą lub z dzikimi zwierzętami.

Krwawe widowiska cyrkowe przetrwały do dzisiejszego dnia w Hiszpanji i niektórych krajach południowej Ameryki, zamieszkiwanych przez potomków hiszpańskich kolonistów, w postaci walki byków. Ścisłej mówiąc walki ludzi z bykiem.

Walka z bykiem mimo jego większej siły jest łatwiejsza niż walka z krową, bo byk atakując zamyka oczy i leci naoslep. Łatwo jest wówczas uskokzyć mu z drogi. Krowa natomiast cały czas uważnie śledzi ruchy przeciwnika.

Największy cyrk w dawnym Rzymie był 655 metrów długi i ponad 100 metrów szeroki. Mieścił 180.000 do 190.000 widzów. W różnych przebudowach w ciągu czterech wieków zwiększano jego pojemność, tak że pod koniec państwa rzym-

skiego mogło się w nim zmieścić 585.000 widzów.

— Europa posiada 27 towarzystw komunikacji lotniczej, z 892 aparatami. Długość tras lotniczych wynosiła w 1955 r. 192.198 km. Niemcy mają najwięcej aparatów komunikacyjnych — 150; Francja 93, Włochy 72, Holandia z koloniami 62, Anglia 31, Polska 22, Szwajcaria 17, Czechosłowacja 21, Belgia 20.

Uśmiechnij się

- Co byś chciał na śniadanie?
- Lososia z jajami, smażonego na truflach, kurczę z kompotem, pasztet z gęsich wątróbek...
- Zwariowałeś?
- To poco pytasz, cobym chciał?
- Mam kłopot z synem. Nie umie grać w karty.
- No to bardzo dobrze.
- Niestety, nie jest dobrze, bo on choć nie umie grać, wciąż grywał!

LISTOPAD

Wyszedł sobie do ogrodu stary, siwy pan Listopad. Grube palto wdział od chłodu i kalosze ma na stopach. Deszcz zacina, wiatr dokuca.

Pustka, smutek dziś w ogrodzie. Pan Listopad cicho mruczy: — Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... Po listowiu kroczy sypkim, na ławeczce sobie siada: — Chłód i zimno, mam dziś chrypkę, trudna rada! Trudna rada!

Czy znasz już kukielki?
Czy widziales baśń „O Kasi
co gąsiki pogubiła”? Jeżeli nie,
to przyjdź do Teatru Polskiego
w Rydze w niedzielę 15 listopada
o godz. 2 po południu.